

"Faryzeusze i grzesznik" w Teatrze Powszechnym.

Przed kilkunastu laty głośna była w jednym z większych miast polskich afera, związana z uroczystościami ku czci Juliusza Słowackiego. ~~Kisyyyy~~ Zdarzyło się mianowicie, że kiedy po licznych przemówieniach, okłaskach i powitaniach szerokie grono oficjalnych reprezentantów nauki i sztuki przeniosło się do sal mieszczących pamiątki po Juliuszu Słowackim - posłyszano nagle w grupie skupionej przed obrazem przedstawiającym małżonkę "Julka" głos jakiejś zażywej jejmości, która uderzywszy się w piersi zakrzyknęła:

-Jak Boga kocham-toż mój Michaś aż tu zawędrował!

Uczyniła się wielka cisza. Zbladła powaga nauki. Ktoś próbował dyskretnie usunąć na bok autorkę kompromitującego wykrzyku, ale uparta jejmość nie prędzej dała się wyprowadzić z dostojnie milczącego grona aż wyłuszczyła zebrany, że mniemany "Julek" jest autentycznym konterfektem jej syna czy wnuka, sprzedanym pokątnemu handlarzowi przed kilku miesiącami...

Ciąg dalszy sprawy był jeszcze bardziej sensacyjny, skoro okazało się, że obraz w swojej wędrówce trafił do jednego z głośnych znawców, który z kolei odsprzedał go do ni mniej sławnego muzeum, po ekspertyzie naukowej ~~zapytany~~ specjalistów.

Przypomniała mi się ta dobrze zatuszowana przez ówczesne czynniki sprawa na prapremierze sztuki Małgorzaty Wolin i Jerzego Pomianowskiego, sztuki opartej na rzeczywistej i pokrewnej sytuacji, jaką przeżył niedawno świat znawców malarstwa holenderskiego na słynnym procesie o podrabianie obrazów genialnego Jana Vermeera z Delft.

wymiary tej największej w dziejach nowożytnych afery fałszerstwa artystycznego były oczywiście niepomierne większe - a na ławie oskarżonych zasiadł nie pokątny handlarz ani sanacyjny kalkulator ale autentyczny holenderski malarz Hans van Meegeren - urastający w swych zeznaniach do miary głębokiego tragizmu - a w swej pracy artystycznej do miary niepospolitego artysty.

Treść sprawy, treść konieczna dla zrozumienia ostatniej sztuki, opartej całkowicie na niej, jest następująca:

Siądma armia amerykańska-wśród tysiąca innych zbiorów-wzięła w czasie ostatniej wojny również "do niewoli" wspaniałe i umiejętnie szabrowane po całej Europie zbiory Goeringa. Wśród tysiąca z górą obrazów znalazło się także płótno słynnego, choć późno odkrytego, malarza holenderskiego XVII wieku Jana Vermeera z Delft, przedstawiające "Chrystusa i jawnogrzesznicę". Jak dotąd sprawa nie nosiła jeszcze posmaku sensacji. Ale bomba pękła, gdy w papierach eksmarszałka "Reichu" znaleziono notatkę stwierdzającą, że dzieło Vermeera zakupiono w r. 1943 w Amsterdamie za grube pieniądze a sprzedawcą był holenderski właściciel obrazu, malarz Hans van Meergeren. Artystę oskarżono o haniebną kolaborację i aresztowano. Po uwięzieniu Meergerena sprawa przyjęła nowy, niespodziewany obrót, bo Holender nie mogąc znieść oskarżenia wyznał, iż i ten obraz i sześć innych sprzedanych w ciągu ostatnich lat do muzeów "Vermeerów" było jego autentycznymi dziełami. Były to oryginalne kompozycje, nie kopie-obrazy stworzone tylko "pod styl i formę" genialnego poprzednika.

wobec takiej rewelacji kompromitującej ekspertów malarskich-polecono mało cenionemu dotąd malarzowi, jakim był Meergeren, aby dał świadectwo prawdzie i pod dozorem policyjnym... namalował nowego "Vermeera". Malarz nie kłamał. W ciągu kilku miesięcy powstało wspaniałe płótno "Chrystus w świątyni wśród mędrców". Eksperci pokiwali głowami, poszemrali i zamilkli. Zakowali, bardzo, że znaleziono tę fatalną notatkę, która ich kompromitowała. Ale Meergeren poprzednio sprzedał do muzeów sześć innych obrazów. Sąd oskarżył starca wobec tego nie o kolaborację ale o niegodne wzbogacenie się majątkiem narodowym. O ile wiem Meergeren zmarł w więzieniu.

Niepospolita ta afery wywołała zrozumiałe echa i dyskusję w świecie prawniczym i jeszcze większą -w artystycznym. Wentylowano przy tym zadania społeczne sztuki i względność wartości "osobistych" malarza wobec wykonanego dzieła. Rozpatrywano zagadnienie psychologii twórcy i sprawę istnienia i nieistnienia plagiatu. Dostało się przy tym niemało zanwcom malarstwa i bardzo problematycznym wartościom licznych zbiorów "dzieł sztuki"-ze specjalnym uwzględnieniem galerii amerykańskich nababów, których snobizm sprzyja niezwykle fałszerstwom artystycznym. Jednym słowem proces Meergerena zamieszkał i pomieszał ludzi i pojęcia.

Nic też dziwnego, że tak świetny materiał dramatyczny z życia przeszedł do rozpraw i essey, do filmu a ostatnio na scenę. Porwała się na opracowanie teatralne tematu nowa polsko-radziecka spółka autorska w osobie Jerzego Pomianowskiego, utalentowanego tłumacza oraz niemniej zdolnej aktorki i literatki-Małgorzaty Wołin. Nowi dramatopisarze gotową intrygę z życia Meergere na rozbudowali w swej sztuce, dali sprawie fałszerstwa inny podkład ideologiczny, starali się upiec przy tym ogniu kilka naraz pieczeń..

Malarz ma żonę i dwie córki-Dianę i Wiktorię. Diana-zawistna, płytko, bezwzględna-kapitał swych zainteresowań wkłada w szmatki i tenis, ewentualnie - w bogate małżeństwo. Wiktorja-uświadomiona społecznie, dzielna i wytrwała szlachetna-oddaje serce zecerowi Markowi, który w założeniu autorów ma być reprezentantem młodych sił postępu i socjalizmu. Malarz-ideologiczny sceptyk żyjący w zasadniczym rozdźwięku z otaczającym go zachodnio-europejskim światem, ma brata, dyrektora muzeum, najczarniejszym "typem" charakter, jaki kiedykolwiek dane nam było widzieć na scenie. Po scenie chodzą jeszcze dwa typy a raczej smętne typki: głupawy i irytująco dziecinny amerykańsin Duck oraz jeszcze jeden z kolekcji antypatycznych-Leon, narzeczony Diany, szpicel, świntuch i błazen.

Tak więc otoczenie dzieli się wyraźnie na dwie grupy: białą i czarną, przy czym czarna żywo przypomina menażerię z "Lisiego Gniazda" Lilian Hellman.

Jednym słowem sztuka jest rozbudowana a może i przebudowana, na kanwie za gadnienia artystycznej mistyfikacji oparto teatralną "maszynę", która mogłaby starczyć tematycznie na pięć innych dramatów i jedną niezłą komedię, której bohaterem mógłby być byczkowaty Duck i dwie panny-jedna głupia ale dobrze grająca w tenisa a druga mądra, ale brzydka...

Najgorzej na tym montażu wyszła sprawa społeczna i ideologiczna, sprawa, o którą chodziło przede wszystkim autorom i chodzi nam. Z autorskiej gry na cztery ręce powstał coctail, miejscami bardzo dobrze i "z nerwem" napisany, ale chybotliwy i nieuzasadniony ani w ludziach ani we faktach. Zbyt wielkie pole do obróbki wzięli na swe barki autorzy, aby je rozpracować w trzech aktach i aby widz mógł uwierzyć, iż rzeczywiście sprawa światopoglądowa jest najważniejszym motorem

poruszającym ludźmi w tej sztuce. Reprezentatywne postacie zecera i wiktorii pomimo ich pięknych tyrad, przypominających rozprawy publicystyczne-są zbyt martwe i sztuczne. Również tak piękne w założeniu ideologiczne przekształcenie i przewartościowanie wnętrza malarza pod wpływem Marka-stało się marginesowym niemal efektem, bez należnych i koniecznych etapów na drodze do wewnętrznego wyzwolenia. Wina zaś leży tylko we fakcie, że autorzy zapomnieli o konieczności wyrzeczenia się wielu zagadnień na rzecz jasności pozostałych. Jest to zresztą pospolity grzech popełniany przez przewagę początkujących autorów dramatycznych.

Natomiast robota sceniczna "Faryzeuszy i grzesznika" rokuje spóźnie bardzo dobrą przyszłość. Nie mówię tego dla otarcia łez autorskich, ale w pełni przekonania słuszności tych słów. Sztuka odznacza się doskonałą dynamiką scen, operuje dobrymi efektami utrzymującymi widza w stałym napięciu. Nie unika też dobrych momentów przeniesionych z dramatu sensacyjnego. Postacie malarza, Ducka i dyrektora są widowym dowodem znajomości rysunku scenicznego.

Ważną część winy za braki w ~~spółce~~ spektaklu ponosi reżyser sztuki, Józef Maśliński. Po pierwsze bał się radykalnie poobcinać przydługie i niepotrzebne "kwestie" i odczyścić/co jest reżyserskim obowiązkiem/tekst z niejasności psychologicznych za pomocą stonowania jednych partii na rzecz drugich. Po drugie ~~nieprzepraszam~~ pozwolił sobie na bardzo tanie efekty na scenie, wprowadzając fisharmonię tam, gdzie ona psuła dramatyczny sens dialogu.

Kończąc ocenę-należy debiut nowych autorów uznać za udany pod względem technicznym i należy im życzyć, by go rozprzeszczerzili w niedalekiej przyszłości i na <sup>inne</sup> wszystkie rejony sztuki scenicznej.